

## „Śladami Tomka z Karaibów” czyli słów kilka o „moich Karaibach”

*"Małe Antyle Morza Karaibskiego - to egzotyczne miejsce staje się w ostatnich latach coraz bardziej popularne wśród polskich żeglarzy i turystów. To zakątek pełen niespodzianek i skrajności. Można tu zobaczyć niebiańskie plaże i tropikalną dżunglę, bogactwo prywatnych wysp i wioskową biedę, nurkować z żółwiami, ścigać się z delfinami i śledzić stada latających ryb. W ciągu dnia gasić pragnienie mango, a wieczorami, pod rozgwieżdżonym niebem, delektować się świeżymi homarami. Bogactwo różnorodności i raj nie tylko dla żeglarzy."*

"Żeglowanie po Karaibach", wydawnictwo: Almapress, autor: Tomasz Bednarczyk

Gorący, wakacyjni urlopowicze,

Z pokładu jachtu na Karaibach można zobaczyć wiele..., bardzo wiele i dotrzeć tam, gdzie regularne promowe i lotnicze linie nie dotrą, oraz zobaczyć to, czego nie widać zza żywoplotu i basenu wersji „all inclusive”. Co roku mam okazję i przyjemność żeglować turystycznie katamaranami po wyspach morza Karaibskiego - szczególnie w obszarze Małych Antyli - od Martyniki do Grenady.

Akwen ten pokazuje przekrój przyrody na Karaibach od wulkanów i lasów tropikalnych, po błękitne laguny, rafy i „mączny” piasek (nie „żwirowy” jak w Chorwacji czy Grecji). Z faktu, iż bywam tu często, na podstawie tego co w głowie (i z mego „dziennika sternika”), a nie w innych źródłach, ośmielam się wspominać właśnie „o moich Karaibach” przez pryzmat garści ciekawostek, wspomnień, w tym uczt dla oczu, duchowych, kulturalnych i kulinarnych doświadczeń. „Oszczędzę” tu żeglarskich szczegółów branżowych.

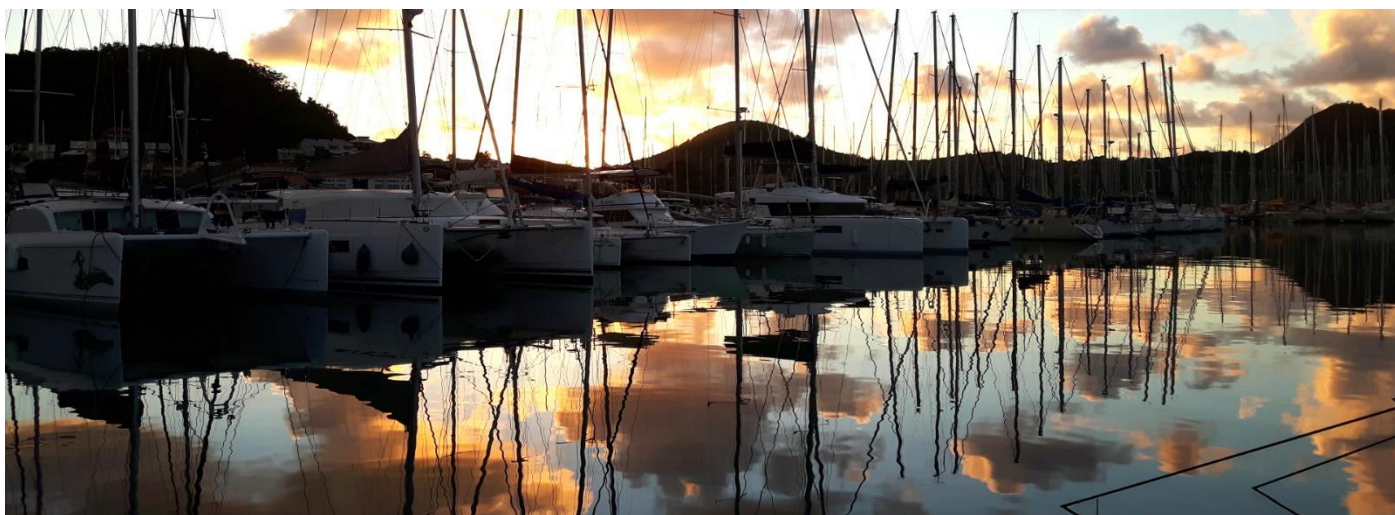
Bo właśnie na „moich Karaibach” wpływając do zatok słyszę już z oddali, choć jeszcze nie widzę przez gęszcz palm - „Tomek, Tomek...”, co zawsze wprowadza mnie w miłe osłupienie. Na brzegu „przybijam żółwie” z „odredowaciami Rasta”, znajomym i mniej znajomym „friendsom” zostawiam kolejne koszulki (choć te ubiegłoroczne nie zużyte jeszcze), a czasami również zdjęcia z poprzednich lat. Z kolei na ich „czołnach” wymieniam polskie bandery. Taki handel towarzysko-wymienny. Aby opisać to wszystko z sercem i w szczegółach, sezonu żeglarskiego by nie starczyło (choć ten dla mnie trwa na okrągło), a przecież pływać trzeba. Łatwiej będzie wejść z nami na pokład – zatem „welcome on-board”.



## Martynika, czyli Karaiby w wersji ucywilizowanej

Z Europy (zwykle z Paryża), transatlantycką linią lotniczą (najczęściej Air France lub Corsair) dostajemy się do.... Europy, a dokładniej departamentu zamorskiego Francji – wyspy Martynika. Wszędobylskie palmy, wysoka wilgotność i temperatura około 25 st. C (szczególnie podczas europejskiej zimy), od razu przypominają nam, że to muszą być Karaiby, choć tu, na Martynice już ucywilizowane, to jednak wciąż, ku mojemu zadowoleniu, „rozczochrane” nieco.

Hoteli z widokami na morze i jachty tu wiele, a ja za każdym razem, gdy tylko zamknę mnie w tej „klatce z widokiem” – tęsknię „za tym prostym żeglarskim życiem”. My żeglarze ciągniemy więc na południe do zatoki Le Marin – jednej z największych baz czarterowych na Karaibach, gdzie w tle rozległej mariny kołysz się las masztów od jachtów stojących na kotwicach. Nie dla wszystkich starczy miejsca przy pomoście, a i „dutek” w kieszeni na opłaty. Marina du Marin to nieformalna mekka żeglarzy tego regionu. Niepisanym, żeglarskim centrum jest tu restauracja „Mango Bay” (polecam najlepsze, największe w porcji żeberka na Karaibach). To *meeting point* dla żeglarzy, kończących i rozpoczynających swoje morskie wojaże – zarówno te dłuższe np. po 3 tygodniach non-stop „deliverki” z Kanarów, i jak i te krótsze – turystyczne, około 2 tygodniowe, korzystające z licznych baz czarterowych na miejscu. Znajdziecie tu wiszące ogłoszenia dla i od autostopowiczów i „włóczęgów” żeglarskich typu *find crew* i *find yacht*. Le Marin to dla mnie także mniej „klubowe” wydanie Sopper’s Hole na BVI (Brytyjskie Wyspy Dziewicze ang. *British Virgin Islands*).



Martynika, Le Marin – wschód słońca

## St. Lucia i pocztówkowe „Pitonsy”

Stajemy jachtem na boi w cieniu małych „Pitonsów” (czyli *Petite Pitons*) w głębokiej (pod kilem) Soufriere Bay, obok miasta Soufriere na St. Lucia (to już kolejny kraj). Sam wulkan (wygasły) to chyba najbardziej pocztówkowe wspomnienie z wakacji na tej wyspie.

Ambitni mogą się wspiąć na „Pitonsy” – legalnie tylko z przewodnikiem i koniecznie w mocniejszym obuwiu (boso lub w klapkach to jedynie tutejsi mieszkańcy i może Cejrowski) i wodą do picia, choćby w ręku. Wczesno-poranne, strome wejście zajmuje około 2 godzin w obie strony i wymaga nieco więcej niż przeciętnej tężyzny fizycznej (wyczyn podobny jak na „zapyłone” Stromboli – Wyspy Liparyjskie, Włochy). „Atak szczytowy” odbywa się już z użyciem zamocowanych tam lin, a nagroda w postaci satysfakcji i „rzutu okiem na zatokę” jest bezcenna. Może właśnie od konieczności nawadniania organizmu podczas tego wejścia wzięła się nazwa piwa z St. Lucia – „Pitons”. Choć „cienkie” w swej procentowości, to podane na zimno z limonką czyni go orzeźwiającym „napojem bogów” – acz lokalnie bardzo powszechnym. Jego konkurent, piwo „Carib” „rządzi” na pobliskich Grenadynach. W Europie to nieznanne marki. Trudny wybór w tropikach – „Pitons” czy „Carib” (bierz oba – nie zmarnują się)? Podobnie jak w Chorwacji: Karlovačko czy Ožujsko. Niech wasze podniebienia zdecydują, ale Heineken tutaj to już „świętokradztwo”.

„Masowe wycieczki” (bez wymagań na sprzęt i tężyznę fizyczną) udają się *by taxi* na wodospady (dla odmłodzenia wypada zmoczyć się), ogród botaniczny oraz czynne „wulkanowe pole” z mocno siarkowym zapachem (lecnicza kąpiel również możliwa). Przy odpowiednim kierunku wiatru, dość często w mieście i zatoce niesie się po nozdrzach *souphur* i *dioxide* – nazwa miasta Soufriere nie jest przypadkowa. A samo miasto – żywe, pełne usług (banki, poczta, ośrodki edukacji, zdrowia, sklep Digicel – operator sieci komórkowej....), choć biedne i ze słabą infrastrukturą (rynsztoki, moc kabli w powietrzu, życie na ulicy – polecam spacerować brzegiem w stronę „Pitonsów”), jakby osiągnęło cywilizacyjny sufit nie do przejścia i szczyt rozwoju - może poprzez to swoje karaibskie „rozczechranie”. Inwestorów nie widać tu od lat. Wyspę dalej jest już bardziej rozwinięty Kingstown – stolica St. Vincent i Grenadynów.



St Lucia, Soufriere Bay – zachód słońca przy Petite Piton

## Tropikalno-piracki St. Vincent i Grenadyny oraz „nasi tu byli”

Wyspa St. Vincent wraz z archipelagiem Grenadynów zadomowiła się banderach niektórych jachtów nad polskim wybrzeżem Bałtyku (patrz marina Gdynia) – to tak tytułem ciekawostki. Powody? Oczywiście - proceduralno-finansowe.

Szczególnie St. Vincent to symbol pełnego karaibskiego „rozczochnia”, gdzie przewodniki potrafią „straszyć”, iż z biedy wyrosła tu agresja i złodziejstwo. A przecież z biznesu na turystach, szczególnie tych żeglarskich tu się głównie żyje. Niewidzialna ręka samokontroli i dbałości o rynek trzyma tu porządek. Ten turystyczny prywatny biznes (nie wypada prosić o pokwitowanie) to paciorki, pamiątki, warzywa, owoce, ryby, wycieczki, „usługi portowe” (choć portów brak) – *follow me* (często na wiosłach), cumowanie, odbiór śmieci (macie szansę je potem ponownie „odebrać” w krzakach na brzegu). Na wsi to z roli się jeszcze żyje, czyli z uprawy *gandzi* na eksport („niewiele” na własny użytek) - jak rezolutnie zeznał mi jeden „zdyminy”.

W ciemnej od wulkanicznego piasku zatoce Wallilabou na St. Vincent dojrzyście z wody resztki szubienicy, przy której harcowali „Piraci z Karaibów” z Jonny Deep’em na czele i dziesiątkami lokalnych statystów. Rzewnie wspominają oni czasy kiedy kręcono tu film Romana Polańskiego – mieli pracę. Na dowód tego pokazują swoje zdjęcia z planu. Jeszcze tylko resztki dekoracji i fotosów w szopie przypominają, że coś się tu działo. Co „coś” sukcesywnie zanika – nikt nie zaopiekował się dekoracjami, które zostały na pastwę fauny i flory. Po piratach znajdziecie tam również nieprane od lat przebrania w nabrzeżnej restauracji (tu również liczne ślady polskich załóg w postaci bander i flag). Pozdrówcie mojego „friendsa” Rudola jak tam zawitacie. Porządny gość.

A zdjęcia mają moc na Karaibach. Kilka lat temu obdarowałem jednego wodnego „paciorkowca” o ksywie *Bushman* (wyspa St. Lucia, zatoka Marigot Bay) „Żeglowaniem po Karaibach”, gdzie wydawca pokazał go na tylnej okładce. Od tej pory pokazywał to książkowe zdjęcie innym załogom i sprzedaż mu wydajnie wzrosła, szczególnie wśród polskich braci.

W klimacie knajp, trzeba jeszcze oddać „cześć” (aby niżej w hierarchii jej nie ustawić) przybytkowi „U Antka” - lewa część zatoki Wallilabou, często po przejściu przez rzeczkę. To kultowe miejsce zostało wypromowane przez polskie załogi marketingiem szeptanym, bez inicjatywy i zgody Antka. To lokal barowy, już pozaklasowy, pełen trunków z polski rodem, gdzie króluje żubrówka, a stan magazynowy jest uzupełniany na bieżąco przez polskich klientów (przewaga płci męskiej). Oczywiście i rum leje się strumieniami, podobnie jak polska muzyka (głównie rockowa) sączy się z głośników, a tańce i nie-tańce „bosańce” zależą już od inwencji gości. Antek pozwala niemal na wszystko, łącznie z zastępowaniem go przy polewaniu. Klimat imprez zależy od uczestników, a knajpa „U Antka” bywa często zamknięta jako ostatnia – do ostatniego „gościa”. Na pewno poznacie, że „nasi tu byli”.



St. Vincent, Wallilabou – z wizytą „U Antka”

### Bequa – pamiątkarski przedsiónek Grenadyn

Bequa darzę sentymentem, bo niezmiennie kręci się tam wielu znajomych – między innymi *Sunhine* na *Fresh Market* i jego urocza żona od biżuterii i kolorowych czapek – *Melisa*. Jak trzeba to i spod lady *gandzia wine* sprzeda. Nie bądźcie zwiedzeni, że kupujecie berecik, a nie kominową, wysoką czapę jak noszą Rastamani, bo aby z bereciku zrobiła się taka czapa, to trzeba odpowiednie włosy mieć – hodowla wymagana od maleńkości. Bequa to również doskonałe miejsce do kupowania pamiątek (w tym rękodzieła różnej maści, a nie tylko koszulki i paciorki). Możecie się wybrać również do pobliskiego „sanktuarium żółwików”, które bez pełnych zaangażowania opowieści prowadzącego stwarzało by dość przykry widok więzionych zwierząt.

Prawa strona zatoki obsiana jest przy samym brzegu licznymi restauracjami (to pod kątem lunchu), za którymi rozciąga się długa plaża. Po lewej stronie zatoki, na wzgórzu, około 15 minut od pomostu dla pontonów (ang. *dinghy dock*) króluje restauracja „The Deck House”. Zabierzcie tam swoich partnerów na romantyczną i smaczną kolację przy świecach z widokiem na całą zatokę.



Bequa, Port Elizabeth – pamiątek czar

## Mustique – wyspa bogaczy gdzie Mick bywa

Azaliż prawdą jest, że bywa tam Mick Jagger. W styczniu 2017, kręcił się raz w prostej koszuli i szortach po opustoszałym małym lotnisku dla prywatnych samolotów żegnając swoich gości, a i ja akurat byłem tam dopełniając formalności celno-paszportowych. Musiałem skorzystać z okazji, aby uścisnąć dłoń i zmienić kilka grzecznościowych słów. Spotkanie z legendą (jakże dobrze zakonserwowaną), które zapamiętam na długo.

Mr. Jagger jest jednym z właścicieli nieruchomości (czyt. rozległych posiadłości), który wraz z innymi zacnymi sąsiadami tworzą „spółdzielnię” zarządzaną przez *Mustique Company*. Jako turyści możecie odbyć wycieczkę po wyspie taksówką (otwarty pick-up) lub wynajętym buggy (konieczne lokalne prawo jazdy – do kupienia na całe pół roku oczywiście), oglądając przez żywopłoty nie tylko te budowlano-ogrodowe wspaniałości, ale również między innymi kultową *Makaroni Beach* (nie gorsza i spokojniejsza jest na prawo od kotwiczowiska), której mocy nawietrznych fal niewiele bikini się oparło.

Będąc na Mustique nie wypada nie wpaść choćby „na piwko” do Basil’s Bar przy Lovell Village (nie bądźcie zszokowani pobliską hałdą zbędnych, choć dla nas drogocennych, muszli) z widokiem na kotwiczowisko *Britannia Bay*. Tu w weekendy grana jest przez prawdziwe „bendy” muzyka na żywo. Przeważa jazz i rock, który skutecznie porywa do tańca gości przybywających tłumnie nie tylko z lądu, ale również z *luxury yachts* widzianych z tutejszego balkonu. To jedno z lepszych miejsc na imprezę „na poziomie”, choć na luzie w tym rejonie Karaibów.



*Mustique, Britannia Bay – Basil’s Bar i jachy na bojach*

## Maryeau i Salt Whistle Bay

Jak już wpłyniecie do „Zatoki słonych gwizdków” na wyspie Maryeau.... to szybko nie wypłyniecie. Wiszące nad rozgrzanym piaskiem palmy, spokojna woda, wasz jacht pod ręką, lobstery u „lokalesów” obok.... Nie rozleniwiajcie się jednak. Zdobądźcie się na 15 minutowy spacer (w jedną stronę) o wschodzie lub zachodzie słońca na górę do kościoła katolickiego, skąd rozpościera się jedna z lepszych panoram na Tobago Cays. Po drodze nie przegapcie urokliwego cmentarza na zboczu, a 5 minut za szczytem wstąpcie „na jednego” do rastafańskiego przybytku, gdzie front przybytku przewyższa bogactwem jego kartę drinków. Zajrzyjcie również na nawietrzną stronę – za rzędem palm (około 100 m najkrótszą drogą) mogą harcować wind-surfingowcy.

## Tobago Cays

Jesteście w bijącym sercu Grenadynów – błękitnym Parku Narodowym Tobago Cays, otoczonym rozległą *Horse Shore Reef*, tłumiącą wszelki rozkołys Atlantyku. Poza wszędobyłskimi żółtiami i dużymi jaszczurkami na wysepce Baradal (wejdźcie na szczyt po widoki), nurkowaniem w rafie (wypłyniecie pontonem ze sprzętem ABC), niemal musicie swoją nagą stopę postawić na „lobsterowej” wieczerzy na północnej plaży *Petite Bateau*. Zamówienia składacie już wcześniej – nie martwcie się, zanim zacumujecie, już oferta do Was „podpłynie”. Moim ulubionym Mr. Lobster jest ostatnio Kojak – uczciwy, porządny gość. Z drugiej strony wielu każe uważać na Mr. Wonderfull, który w pogoni za klientami przybrał ostatnio mocno polskie akcenty na swojej motorówce (podobno „*Polish never say NO*”).

Niegdyś skromna w swojej wielkości pola (choć lobstera więcej było, to z własnymi sztuczkami i napitkami się przychodziło), dzisiaj to już licznie odwiedzana „restauracja”, która urosła do klasy „bosymi nogami w piasku”. Wieczorem spotkacie tu wiele załóg przy stolikach osobnych „restauratorów”, bo podział stołów i miejsc grillowania jest wyraźny - każdy „lokales” płaci tu do *Marine Rangers* za możliwość działalności w „lobsterowym biznesie”.



Tobago Cays – w oczekiwaniu na lobsterową ucztę

## Petite St. Vincent

W drodze tam lub z powrotem z PSV czyli Petite St. Vincent (dalej już wyspy Państwa Grenada) pozwolę sobie jednym tchem wymienić opuszczoną Petit Tobac z piękną rafą w środku, Palm Island z barem restauracyjnym pełnym gości z USA gdzie „polo i USD ledwo starcza” (spacer plażą obowiązkowy, choć brzegiem, bo prywatna) oraz wysepczkę Mopion, na której ukojenie od słońca znajdziecie pod jedyną, niewielką słomianą parasolką, której cień zajmuje wyraźny procent tej ziemi – znaczy piasku. Jedyne rozsądniejsze, konieczne zaprowiantowanie zrobicie po drodze na wyspie Union w Clifton Harbour.

Spacer plażą dookoła PSV dostarcza wielu estetycznych wrażeń, aby na koniec dnia (choć niektórzy już od rana tu sączą) dotrzeć do Restauracji z sieci SLH – *Small Luxury Hotels* (resort zajmuje w zasadzie całą wyspę) – takiej przez większe „R”. To eleganckie miejsce, gdzie ciemnoskórzy kelnerzy w białych koszulach fachowo umilają czas przez cały dzień donosząc różnorakie napitki i wytworne karaibskie jadlo - wybrane sztuki pływają tu w podręcznym baseniku...

To i tyle, aby nie zanudzić, choć to wciąż mało o „moich Karaibach”, bo w głowie coroczna moc gorących wrażeń. Czas ponownie pakować „worek żeglarski” (mam już walizkę, zawsze miękką ....na kółkach ). Oby wcześniej z piasku i muszli go opróżnić.



Petite St. Vincent – „oko” na jacht

Warszawa, 12 czerwca 2017

Autor: Tomasz Bednarczyk

Kontakt:

[tomasz.bednarczyk@pro-skippers.com](mailto:tomasz.bednarczyk@pro-skippers.com)

tel. +48 660 771 444

[www.pro-skippers.com](http://www.pro-skippers.com)

*"I ja tam z gośćmi byłem, miód i wino piłem,  
A com widział i słyszał nieco tutaj zamieściłem."*

**Tomasz Bednarczyk** – żegluje od 1994 roku „gdziekolwiek żagle poniosą”, czyli niemal wszędzie (gdzie jest woda). Kapitan jachtowy i motorowodny, instruktor żeglarstwa. Współzałożyciel (i ojciec-pomysłodawca) Pro-Skippers Group Sp. z o.o. - szkoły żeglarstwa i agencji najmu jachtów morskich. Autor pierwszego, polskojęzycznego przewodnika dla żeglarzy o Karaibach – „Żeglowanie po Karaibach”.